

Przez duży pokój przeciągnięty jest łańcuch utworzony z biurowych spinaczy. Na tym łańcuchu wisi kilkanaście kilkustronicowych plików pokreślonych maszynopisów oznaczonych kolejnymi numerami. Nowo przyjęty właśnie do pracy fizyk objawia lekkie zdumienie: co to wszystko oznacza? Starsi koledzy wyjaśniają mu to jako rzecz oczywistą: są to kolejne wersje pracy o hiperonie lambda. Wszystkie tu zawieszono zostały z takich lub innych powodów odrzucone przez Profesora. Tak zetknąłem się po raz pierwszy ze stylem pracy i krytycyzmem naukowym Mariana Danysza.

Profesor Marian Danysz zmarł 9 lutego 1983 r. Fizyka polska poniosła wraz ze śmiercią Profesora wielką stratę. O jego niezwykle bogatym dorobku naukowym piszą czasopisma specjalistyczne polskie i zagraniczne starając się w ten sposób uczcić jego wkład do nauki światowej. W tym miejscu chciałbym przybliżyć Czytelnikom *Delty* postać Profesora Danysza jako człowieka, jako twórcy szkoły fizycznej, jako przełożonego.

Pisanie o ludziach, którzy odeszli od nas na zawsze, przypomina nieco działalność hagiograficzną. Człowiek i jego czyny są podświadomie idealizowane, wady pomniejszane, a cała sylwetka nabiera idealnych znamion. Nie chcę iść tą drogą. Opowiem kilka, w gruncie rzeczy błahych epizodów, które choć trochę może przybliżą i urealnią postać tego wielkiego uczonego.

Podstawowe dane biograficzne można znaleźć w Wielkiej Encyklopedii Powszechnej PWN. Nie ma w niej natomiast informacji, że był on jednym z twórców i organizatorów polskiej szkoły fizyki cząstek elementarnych, że umiał skupiać wokół siebie i nadawać kierunek działalności młodym zapałonym fizykom.

Pamiętam, że w roku 1961 w Zjednoczonym Instytucie Badań Jądrowych w Dubnej mówił do nas: „Wy macie się uczyć i pracować — ja będę Wam stwarzał do tego warunki”. Tę obietnicę starał się wypełnić jak najsumienniejsze.

Jest wczesne popołudnie. Siedzimy w laboratorium w Instytucie Fizyki Doświadczalnej Uniwersytetu Warszawskiego i robimy ręcznie histogramy mas układów cząstek. Praca to nużąca i niezbyt ciekawa. Jesteśmy znudzeni i zdenerwowani, bo ciągle nic nie wychodzi. Nagle otwierają się niedomknięte drzwi i wpada Tawi (spaniel Profesora). Oho! Idzie Marian (był z nami po imieniu pomimo znacznej różnicy wieku). Nadlatujący dym cygara potwierdza tę hipotezę. Za chwilę wtacza się Profesor (był masywnie zbudowany) ze swoim stałym pytaniem „No i co u was słychać?”. A u nas, jak na złość, nic nie słychać — szukamy nowych cząstek, ale szukamy po omacku. A Ten jeszcze się dopytuje i pewnie da jakąś radę, i to, co gorsza, rozsądną.

Ktoś nie wytrzymał i odpowiedział niezbyt grzecznie — wręcz wulgarnie — coś w tym rodzaju: „odczep się, daj nam spokój”. Zreflektowaliśmy się — zapadła cisza. Bądź co bądź odpowiedzieliśmy tak nie tylko starszemu koledze profesorowi, ale również szefowi, dyrektorowi Instytutu Badań Jądrowych, krótko mówiąc, dygnitarzowi świata nauki. Zapadła więc cisza, Marian pokręcił się, uśmiechnął się pod nosem, ale czy był to krzywy uśmiech, czy nie, tośmy nie wiedzieli i wyszedł z pokoju bez słowa. Tawi i dym z cygara poszli za nim. U nas dalej panuje cisza — zawzięcie pracujemy. Mija kilka minut. Wchodzi ponownie Marian, „wiecie co” — mówi — „musicie być bardzo zmęczeni, jest śliczna pogoda, mam samochód, jedźmy nad Zalew Zegrzyński odpocząć”. Pojechaliśmy — praca w następne dni szła nam znacznie łatwiej.

Marian lubił pływać. Miał jakieś dolegliwości kręgosłupa i pływanie było mu nawet zalecane. We wszystkim co robił wykazywał niezwykle upór w dążeniu do celu i zmuszał swoich współpracowników do wysiłku. Czasem wyglądało to tak: byliśmy razem w kilka namiotów nad jeziorem Serwy w Puszczy Augustowskiej. Marian postanowił łowić ryby o 4 rano. My nie. O świcie budzą mnie przytłumione głosy z sąsiedniego namiotu. Głosy te opryskliwie odmawiają natychmiastowego wyjścia ze śpiwora i nurkowania w jeziorze w poszukiwaniu czegoś tam zerwanego. Koleżanki śpiące w tym namiocie wybroniły się, mnie poszło gorzej i wkrótce rad nierad znalazłem się w wodzie.



W dziedzinie nauki postawione cele były realizowane z takim samym uporem i konsekwencją. Wspólna praca nocami — bo dzień był zajęty administracją — nie była wcale wyjątkiem. Swoich współpracowników pomimo sugerowania im (a nie narzucania) intensywnej pracy traktował jak wielką rodzinę i cieszył się robiąc nam miłe niespodzianki.

Przywiózł kiedyś z Moskwy ze sklepu z dziczyzną kilka kilogramów mrożonego mięsa niedźwiedziego. Zaprosił nas wtedy na kolację, której menu kojarzyło się z indiańskimi ucztami u Karola Maya.

Nie befsztyki z niedźwiedzia i ranne nurkowanie pozwoliły mu uzyskać liczące się wyniki naukowe. Na pierwszym miejscu postawiłbym nieprzeciętną intuicję fizyczną. Profesor Danysz nigdy nie kończył studiów fizycznych, był z wykształcenia inżynierem elektrykiem, a swój poziom naukowy zawdzięczał własnej pracy nad sobą. Czasami brakowało mu przygotowania matematycznego, ale mimo to, a może właśnie dlatego dążył do zrozumienia fizycznego każdego zagadnienia i nie zadowalało go tylko wyprowadzenie wzorów. Pozwalało mu to wyłapywać w pracach takie nieścisłości czy wręcz błędy, których inni w ogóle nie zauważali. Stąd właśnie legendarne już dziś siedemnaście wersji pracy, w której wyznaczano masę hiperonu lambda.

Profesora Mariana Danysza nie fascynowały wzory — szukał głębszego sensu zjawisk fizycznych. Pasjonował go dialog z przyrodą.

Usiłowałem namówić go kiedyś na napisanie artykułu do *Delty* na temat swojej największej przygody w fizyce. Odmówił. Nie lubił sam pisać. Był za to świetnym gawędziarzem. Wybrałem się więc do niego z magnetofonem i tak powstał artykuł „Przygoda w fizyce”, który zamieściliśmy w styczniowym numerze *Delty* z 1975 roku. Sądzę, że warto go przypomnieć.

Tomasz HOFMOKL

## Przygoda w fizyce

*Prof. Marian DANYSZ, członek rzeczywisty PAN*

Z górą chyba czterdzieści lat temu byłem zatrudniony w Pracowni Radiologicznej w Warszawie, kierowanej przez profesora Ludwika Wertensteina. Głównym wyposażeniem pracowni był właściwie dar Marii Skłodowskiej-Curie w postaci 60 mg radu. Rad ten stanowił źródło wszystkich aktywności, z którymi pracowano w laboratorium. Lata trzydzieste, kiedy pracowałem w laboratorium, były okresem bardzo ciekawym. Wtedy właśnie odkryto neutron, pozyton, a Fryderyk Joliot-Curie odkrył promieniotwórczość wzbudzoną przez naświetlanie rozmaitych materiałów cząstkami  $\alpha$ . Pamiętam, że kiedyś zwróciłem się do prof. Wertensteina mówiąc z pewnym żalem: „Panie Profesorze, to właściwie wszystko wiemy. Wiemy, że cały świat nas otaczający składa się z atomów, atomy z jąder, dookoła których krążą elektrony, jądra z protonów i neutronów. Właściwie to pozostały nam detale”. Wertenstein uśmiechnął się, poklepał mnie po ramieniu i powiedział: „Nie bój się, starczy jeszcze dla Was”. W kilka miesięcy po odkryciu przez Joliot promieniotwórczości wzbudzonej naświetlaniem cząstkami  $\alpha$  pracowałem z Michałem Żywym używając małego źródelka cząstek alfa. Przygotowaliśmy je zresztą sami w aparaturze szklanej, w której znajdowało się w roztworze wodnym te 60 mg radu w postaci chlorku radu. Wyciągaliśmy znad roztworu emanację radu, oczyszczaliśmy ją i kondensowaliśmy w malutkiej szklanej rurce, w której końcu wtopiona była płytka platynowa. Po jakimś dniu, dwóch dniach pozostawiania płytki w atmosferze radonu powierzchnia jej była aktywowana produktami jego rozpadu. Po usunięciu radonu, odcięciu rurki, wyjęciu płytki i umieszczeniu jej w odpowiedniej osłonie naprzeciwko cienkiego okienka, które przepuszczało cząstki alfa i zatrzymywało jądra odskoku, mieliśmy źródelko cząstek alfa.

Ludwik Wertenstein (ur. 16 IV 1887, zm. 18 I 1945) studiował w Paryżu, był asystentem Marii Skłodowskiej-Curie. W jej zastępstwie kierował Pracownią Radiologiczną Towarzystwa Naukowego Warszawskiego.

